365

ARCHEOLOGIA PAMIĘCI

G n i e z n o

2022

tekst i zdjęcia

K r z y s z t o f

S z y m o n i a k

365 ARCHEOLOGIA PAMIĘCI
Gniezno 2022

© tekst i zdjęcia – Krzysztof Szymoniak
© Biblioteka Publiczna Miasta Gniezna

Wszystkie fotografie Gniezna umieszczone w tej książce
zostały wykonane w latach 2008-2017

Sądzę, że podstawą humanistyki jest opowieść.
Nie wystarczy coś zobaczyć, przeżyć lub nawet pojąć.
Trzeba jeszcze umieć to opowiedzieć.

Maria Janion
Niesamowita Słowiańszczyzna,
WL, Kraków 2022, s. 9

Fotografia trwale dotyka
rzeczywistości, a ślady naszego
patrzenia znikają w niepamięci.

Sławomir Kuszczak
Segregator obecności. Codzienność. Monochrom
Wydawnictwo UAP, Poznań 2019, s. 31

L i p i e c

(1 lipca) **182**

183 (2 lipca, sobota)

Świat, kraj, miasto lub wieś – to nie tylko punkt na mapie, współrzędne geograficzne, to przede wszystkim ludzie i miejsca. Ludzie, których znam, i którzy mnie znają. Miejsca, które znają wszyscy i miejsca, które być może tylko ja oswoiłem, nazwałem, sfotografowałem. Zapiski lipcowe w całości poświęcam ludziom, dzięki którym moje wrastanie w Gniezno okazało się drogą prowadzącą ku nowym celom i zadaniom. Nie o wszystkich, którzy zapisali się złotymi zgłoskami w mojej pamięci, mogę tu wspomnieć, bo to niemożliwe. Przede wszystkim pozwolę sobie przywołać tych, którzy – najczęściej nie wiedząc o tym – prostowali kręte ścieżki mojej młodzieńczej (ale i dorosłej) naiwności, głupoty i nieuzasadnionej wiary w czekające na mnie za rogiem życiowe i zawodowe sukcesy. „Miejscami" zajmę się w sierpniu. A zatem… Nie odkryję w tych zapiskach niczego, czego byście nie wiedzieli o własnych poszukiwaniach źródła z wodą życia, zaczarowanego kwiatu jednej nocy i kamienia filozoficznego, czego byście nie wiedzieli o własnych radościach i smutkach, zwycięstwach i porażkach, zwątpieniach i drobnych chwilach szczęścia – cokolwiek to znaczy w przypadku każdego i każdej z Was, drogie Czytelniczki i szanowni Czytelnicy. Przypomnę w lipcowych notatkach osoby, nazywane przeze mnie cichymi przewodnikami, osoby istniejące i działające w gnieźnieńskich realiach, dzięki którym brałem kolejne lekcje od życia. Oni, owi cisi przewodnicy, widząc moją niekiedy durną szamotaninę z losem i własnymi ograniczeniami, nie skreślali mnie, nie spychali na margines. Być może dostrzegali we mnie coś, czego sam wtedy nie widziałem, być może uznawali to coś za wartość, którą trzeba ocalić, by ten kiepsko latający ptasior mógł kiedyś odbyć kurs prawdziwego latania, by ten początkujący wtedy poeta (w dodatku będący na bakier z ortografią) okazał się po latach niezłym reportażystą i prozaikiem, by ten – zafascynowany historią sztuki – domorosły adept sztuk wizualnych okazał się w końcu nie najgorszym fotografem, a także autorem tekstów (a nawet całych książek) o życiu, literaturze i fotografii. A ponieważ wszystko to działo się w Gnieźnie, w rodzinnym mieście mojego ojca, mieście, które przygarnęło mnie, zaakceptowało i (być może) uwierzyło w sens kolegowania się ze mną, to teraz spłacam swoim cichym, ale skutecznym przewodnikom ów dług wdzięczności, ów kredyt zaufania, jakim mnie obdarzyli, licząc tylko na to, że ich trud nie pójdzie na marne.

(3 lipca) **184**

185 (4 lipca, poniedziałek)

Jak nie zostałem listonoszem. Listonoszem nie zostałem głównie dlatego, że nie zgodził się na to mój ojciec. A było to tak… Na początku trzeciej klasy ogólniaka, gdzie próbowałem swoich sił na kilku różnych polach (z tego też powodu nie miałem czasu zostać kujonem), przytrafiła mi się rozmowa z kolegą, którego przed wakacjami usunięto ze szkoły (i przeniesiono do LO dla pracujących) za niesubordynację i spożywanie alkoholu w trakcie klasowego wyjazdu pociągiem na Targi Poznańskie. Ów kolega, prywatnie syn oficera LWP i początkujący alkoholik, urządził się w ten sposób, że popołudniami zaiwaniał na ul. św. Jana do gnieźnieńskiej „Sorbony", a od rana szalał na motorowerze Komar jako wiejski listonosz, rozwożąc listy, paczki, ale także renty i emerytury. Z napiwkami wyciągał z tego dwie pensje, stać go było więc na wszystko (w wymiarze finansowym), o czym ja, syn skromnie żyjącej, wielodzietnej rodziny, mogłem tylko pomarzyć. On pracował, zarabiał konkretną forsę i jednocześnie przygotowywał się do matury, którą ostatecznie zdał, a potem – zgodnie z tradycją rodzinną, jak jego ojciec i starszy brat – dostał się do szkoły oficerskiej i został zawodowym żołnierzem. Ponieważ ja w roku szkolnym pozbawiony byłem jakichkolwiek dochodów (poza drobnym kieszonkowym), zamarzyła mi się praca w charakterze wiejskiego listonosza, zwłaszcza że skończyłem już 18 lat i miałem dostęp do motoroweru Komar, który był własnością mojego młodszego brata. Istniał tylko jeden problem: musiano mnie albo relegować z II LO za jakieś szkolne „przestępstwa" do LO wieczorowego, albo rodzice musieli wyrazić pisemną zgodę na takie przeniesienie. Wyłuszczyłem więc ojcu swój zamiar, a on posłuchał, pokiwał głową, przyznał mi rację jeżeli chodzi o gotowość finansowego uniezależnienia się od skromnego budżetu rodziny, a potem powiedział: „Gdy przyniesiesz do domu świadectwo maturalne, możesz zostać listonoszem, albo kolejarzem, albo nawet milicjantem, jeśli taka będzie twoja wola, ale musisz najpierw skończysz tę szkołę, w której teraz jesteś. Ja w każdym razie na pewno nie podpiszę ci zgody na przejście do wieczorówki. Dlaczego? Nie mogę przykładać ręki do niemal pewnej katastrofy". I na tym stanęło. Na egzaminie maturalnym z matematyki nie zatonąłem tylko dzięki dobremu sercu członków komisji i Rady Pedagogicznej. Z resztą poradziłem sobie sam. Po maturze, jak już wiecie, nie zostałem listonoszem. Poszedłem na dwa lata do woja.

(5 lipca) **186**

187 (6 lipca, środa)

Jak nie zostałem aktorem. Jako obdarzony dobrą pamięcią licealista przejawiałem pewne umiejętności recytatorskie, z których nauczyciele robi niekiedy użytek wystawiając mnie na szkolne akademie „ku czci" oraz szkolne, miejskie i powiatowe konkursy recytatorskie. Pewnego dnia trafiłem (jako ten „uzdolniony") do wówczas Powiatowego Domu Kultury działającego przy Parku Kościuszki, gdzie zaopiekował się mną instruktor godzinowy, a prywatnie pewien starszy aktor naszego Teatru, pochodzący z Gdańska. Przez kilka tygodni uczył mnie recytacji – a jak się potem okazało umiejętności aktorskich – na przykładzie ballady A. Mickiewicza „Pani Twardowska", która bardzo się w moim wykonaniu podobała szkolnej publiczności oraz komisji miejskiego konkursu recytatorskiego. Wiele lat później zaprezentowałem z pamięci (i z powodzeniem) „Panią Twardowską" swoim uczniom w SP nr 12, gdzie wówczas pracowałem na etacie polonisty. W każdym razie posmakowawszy sławy z tym związanej wymyśliłem sobie w klasie maturalnej, że może warto by spróbować zdawać do szkoły aktorskiej. Pamiętam, że w lutym lub w marcu 1973 roku pojechałem do Krakowa na konsultacje przedegzaminacyjne do tamtejszej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego. W trakcie tych konsultacji dowiedziałem się, że mam wadę zgryzu, więc i słabą dykcję, słabe warunki wokalne (w sensie umuzykalnienia), że słabo tańczę, a „Pani Twardowska" w moim wykonaniu to nie jest recytacja, tylko całkiem udana interpretacja estradowa. W sumie – raczej nie ma sensu, żebym pchał się na egzaminy praktyczne, na których zwyczajnie polegnę. Pod koniec tych konsultacji pani, która je prowadziła, wyjaśniła mi zupełnie prywatnie, że aktorstwo to jest profesja ani łatwa, ani miła, zwłaszcza że nie daje żadnej gwarancji życiowego i zawodowego sukcesu (podobnie jak w każdej innej dziedzinie ekspresji artystycznej), więc może lepiej będzie, jeśli poszukam sobie innego miejsca w planach na własną dorosłość, innego sposobu artystycznego spełnienia, jeżeli już moja dusza domaga się takich wrażeń i działań. O tym, że owa pani profesor miała rację, przekonałem się w drugiej połowie lat 80., gdy jako redaktor poznańskiego „NURTU" przyjeżdżałem w roli recenzenta na premiery do gnieźnieńskiego teatru. Poznałem wtedy nieźle to środowisko. Ujrzałem jego troski, lęki, ambicje, radości, słabości, sukcesy, nadzieje, porażki i źródła klęsk. Wyszło mi, że nie chciałbym tak żyć.

(7 lipca) **188**

189 (8 lipca, piątek)

Jak nie zostałem zawodowym żołnierzem. Po maturze, jesienią 1973 roku, zamiast pójść na studia, postanowiłem przeżyć męską przygodę i bez oporów przyjąłem wezwanie z komisji poborowej, która skierowała mnie (wraz z Krzysztofem N. – moim klasowym kolegą, z którym przez ostatnie dwa lata ogólniaka siedziałem w jednej ławce) do odbycia zasadniczej, dwuletniej służby wojskowej. Wysłano mnie do Zamościa, do szkoły kaprali, na półroczny kurs mechaników lotnictwa różnych specjalności. Ja trafiłem do kompani, w której szkolono przyszłych kaprali-mechaników urządzeń radiowych, radiostacji pokładowych oraz wszelkiego innego ustrojstwa tego typu, jakie znajdowało się wówczas na wojskowych odrzutowcach i śmigłowcach produkcji ZSRR, będących na wyposażeniu LWP. Innych zresztą nie mieliśmy. Na marginesie: do tej szkółki, ze względu na dosyć skomplikowane procedury obsługi samolotów i śmigłowców, wymagające od personelu naziemnego sporych kompetencji, kierowano głównie absolwentów szkół średnich, zaraz po maturze. Trafiali się więc tam osobnicy z naprawdę wysokim IQ, często utalentowani, których na ewentualnych późniejszych przepustkach czy urlopach interesowało sporo więcej niż tylko picie wódki z kumplami i zaliczanie chętnych panienek. Bywało więc, że spośród tej zbieraniny przyszłych kaprali odpowiednie służby wojskowe wyławiały potencjalnych kandydatów na żołnierzy zawodowych – zanim ci, po odbyciu półrocznego szkolenia przygotowawczego, rozjechali się do jednostek (pułków lotnictwa) rozsianych po całym kraju. Owo wyławianie przyjmowało kształt rozmowy z oficerem, który najpierw wypytywał o różne sprawy (mile widziane były rodzinne tradycje przynależności do PZPR), potem obiecywał złote góry (włącznie ze skierowaniem do szkoły oficerskiej) i rozwijał przed „kandydatem" świetlaną wizję przyszłości w służbie Ludowej Ojczyzny. Mnie też spotkała ta przyjemność. Po półgodzinnej rozmowie z owym umundurowanym *head-hunterem*, zapytany o chęć wejścia na taką ścieżkę zawodową, odparłem po krótkim namyśle: „Panie kapitanie, proszę się nie gniewać, ale wolę zarabiać w przyszłości dwa tysiące na spocznij niż cztery tysiące na baczność". Nie było to rozsądne, ale skuteczne. W efekcie ukończyłem szkółkę kaprali w stopniu szeregowca i nigdy już potem nie awansowałem. Po dwóch latach zasadniczej służby wojskowej wróciłem do cywila tak, jak go opuściłem, z gołymi pagonami.

(9 lipca) **190**

191 (10 lipca, niedziela)

Jak nie zostałem lekarzem weterynarii. Po powrocie z wojska do cywila, czyli do rodzinnego domu przy ulicy Grzybowo 3, nauczony doświadczeniami wyniesionymi z armii, wiedziałem już, że tylko dalsza edukacja ocali mnie od bylejakości istnienia w realiach PRL. Podjąłem więc próbę zapisania się na wyższą uczelnię w Bydgoszczy. Egzamin pisemny zdałem, nie przyjęto mnie jednak na pedagogikę kulturalno-oświatową z braku miejsc, oferując mi w zamian specjalność nauczycielską „przysposobienie obronne", z czego nie skorzystałem. Żeby jednak nie zostać bez zawodu, zapisałem się na pomaturalne dwuletnie studium weterynaryjne we Wrześni. Tam też uzyskałem dyplom technika wet. Po egzaminie i praktyce zawodowej zatrudniono mnie 26 lipca na stanowisku zastępcy kierownika Tuczarni Trzody Chlewnej w gnieźnieńskich Zakładach Mięsnych. Marzyły mi się studia weterynaryjne, ale ponieważ w tak zwanym międzyczasie ożeniłem się i zostałem ojcem, praca zarobkowa okazała się priorytetem. A działo się to w 1978 roku. W styczniu i lutym następnego roku przyszły ogromne mrozy, które sprawiły, że hodowane w tuczarni (w drewnianych nieogrzewanych barakach) świnie ledwo udawało utrzymać się na poziomie planowanego przyrostu masy ciała. Poza tym nieustannie zamarzały instalacje w pomieszczeniach, gdzie przygotowywano ciepłą, półpłynną, wysokokaloryczną karmę, rozwożoną specjalnym beczkowozem do koryt. W efekcie zapadła decyzja o wcześniejszej wysyłce 3500 świń do rzeźni na ubój. Trzeba je było zapędzać z kojców po trapie na ciężarówki, a przede wszystkim dokładnie liczyć. Tym liczeniem zajmowałem się ja. Spędziłem więc tydzień na mrozie, w gumofilcach uszczelnionych papierem z worków i roboczej kufajce, marznąc, licząc świnie i tracąc zdrowie. Krótko potem wylądowałem w gnieźnieńskim szpitalu z ostrym zapaleniem nerek i pęcherza. Po tygodniu odwiedził mnie na oddziale urologicznym mój szef, kierownik Tuczarni. Przyniósł mi słoik kompotu i ciasteczka upieczone przez jego żonę. Widać było, że martwił się o moje zdrowie, zwłaszcza że był, jak twierdził wcześniej, zadowolony z mojej pracy. Pogadaliśmy więc na korytarzu szpitalnym z pół godziny o tym, co nowego w firmie, a potem on, podsumowując to spotkanie, powiedział: „Jesteś dobry chłopak, dlatego powiem ci, że to nie jest praca dla ciebie". Pięć miesięcy później (od 17 września 1979) błyszczałem już i cieszyłem się życiem jako kaowiec w biurowcu PKS Gniezno.

(11 lipca) **192**

193 (12 lipca, wtorek)

Jak nie zostałem zawodowym poetą. Już pod koniec szkoły podstawowej, zapewne w ósmej klasie zakiełkował w mojej wyobraźni pomysł, aby kiedyś zostać zawodowym poetą, jak moi wielcy wtedy mistrzowie, których poznawałem na lekcjach języka polskiego. Będąc już w gnieźnieńskim II LO, na poważnie interesowałem się twórczością Kochanowskiego, Mickiewicza, Norwida, Staffa, Broniewskiego. Po maturze i po powrocie z wojska, mniej pisałem, ale za to dużo czytałem. Pojawiały się na moim stole i w mojej świadomości kolejne nazwiska współczesnych, głównie polskich poetów. Pewnego dnia 1977 roku poznałem w gnieźnieńskiej kawiarni „Esplanada" Krzysztofa Kuczkowskiego, który pociągnął mnie w stronę literackiego profesjonalizmu. Założyliśmy wtedy Gnieźnieńską Grupę Poetycką DRZEWO, wymyśliliśmy ogólnopolską imprezę młodoliteracką pn. Piastowskie Lato Poezji, szukając jednocześnie dojścia do łamów, wtedy jeszcze miesięcznika, gazety „Przemiany Ziemi Gnieźnieńskiej". Kiedy redaktorem naczelnym tej gazety został Maciej Maria Kozłowski, na kilka miesięcy, jako Grupa, zdobyliśmy „Przemiany" szturmem, ale to było wszystko, co mogliśmy wówczas osiągnąć. Pamiętam, że pewnego dnia 1980 roku udałem się do redaktora Kozłowskiego z kilkoma nowymi wierszami, aby mu je zaproponować, jako zupełną rewelację ☺ ☻. On je przeczytał, pokiwał głową, a potem powiedział: „Niezłe, ale mogą poczekać. Nie mogą natomiast czekać ważne tematy społeczne. Teraz potrzebny jest nam jakiś reportaż o nastrojach przedstrajkowych w naszym przemyśle. Pojedziesz do Wrześni? Poradzisz sobie? Napiszesz?". Pojechałem, poradziłem sobie jak mogłem, a po powrocie do domu napisałem. Trzy dni później z duszą na ramieniu zaniosłem ten reportaż do „Przemian". Redaktor Kozłowski przeczytał go, pokiwał głową i powiedział: „Dobre. Idzie do następnego numeru". Po kilku dniach mój tekst otwierał pierwszą stronę gazety. I to był rzeczywisty sukces. Tak oto stałem się reportażystą „Przemian", wierszyki odkładając do szuflady, by dojrzewały i czekały na lepszy czas. Zrozumiałem, że do literatury prowadzą różne drogi. Moja okazała się drogą przez dziennikarstwo. Tak oto zacząłem żyć z pisania, czyli pisać zarobkowo, co prawda tylko do gazety lokalnej, ale jednak. Do roku 2003, kiedy odszedłem z dziennikarstwa etatowego, najwięcej pieniędzy zarobiłem pisząc… do gazet, najpierw w Gnieźnie, a potem w Poznaniu, Ostrowie i Koninie.

(13 lipca) **194**

195 (14 lipca, czwartek)

Jak nie zostałem wyczynowym sportowcem. Biegać zacząłem jeszcze w Kępnie, w siódmej i ósmej klasie SP, za sprawą wuefisty, który dostrzegł mnie w trakcie sprawdzianu krosowego w Parku Miejskim, na dystansie 1000 m. Miałem wtedy drugi lub trzeci wynik w szkolnej tabeli wyników. Lubiłem zresztą tę formę aktywności i wysiłku ruchowego. W II LO trafiłem pod skrzydła Pawła Kiczyłły, także wuefisty, który od razu włączył mnie do grupy treningowej, z wybitnym młodym biegaczem Tadeuszem T., który – będąc utalentowanym i osiągającym dobre wyniki lekkoatletą – najpierw skończył AWF, a potem został gnieźnieńskim wuefistą i trenerem LA. Moją sprawność biegową wykorzystał także pan od PO, który włączył mnie do grupy trenującej trójbój obronny (bieg, strzelanie, rzut granatem). W tej specjalności szybko znalazłem się w młodzieżowej kadrze Wielkopolski, a trenując biegi średnie i długie na początku lat 70. zająłem w Przełajowych Mistrzostwach Wielkopolski juniorów siódme miejsce. Po maturze, gdy już trafiłem do wojska, dzięki wcześniejszym treningom nie miałem żadnych problemów z zaliczaniem obowiązkowego marszobiegu na 3000 m (biegało się w moro, butach wojskowych, bez pasa i czapki), zawsze meldując się w ścisłej czołówce. Zdarzeniem, które pozbawiło mnie złudzeń co do moich ewentualnych sukcesów, jako biegacza, był zimowy obóz kondycyjny, na który pojechałem w klasie maturalnej z całą ekipą trenowaną przez Pawła Kiczyłłę. Ostatniego dnia obozu, na podsumowanie i jako sprawdzian kondycyjny, odbył się 20-kilometrowy bieg treningowo-przełajowy wytyczony zaśnieżonym szlakiem górskim. Wygrał go Tadeusz T., a ja przybiegłem do ośrodka sportowego, gdzie mieszkaliśmy, z półgodzinnym opóźnieniem. w grupie paru innych maruderów. Nogi nie podawały – jak mówią zawodowi biegacze. Po tym wyczynie zdążyłem jeszcze zjeść stygnący obiad i natychmiast trzeba było pakować się do wyjazdu, czyli powrotu w gnieźnieńskie pielesze. Wtedy uświadomiłem sobie, że sport wyczynowy to nie jest bułka z masłem, że wymaga on od ogólnie sprawnego młodego człowieka postawienia wszystkiego na jedną kartę i – co tu wiele gadać – zarzynania organizmu, by osiągnąć wymarzony wynik. Od tego czasu biegam już tylko dla przyjemności lub z obowiązku, ale poza tym z radością wsiadam na rower i do kajaka, pływam w basenie i jeziorach, a także gimnastykuję się i od wiosny do jesieni łażę po polskich górach.

(15 lipca) **196**

197 (16 lipca, sobota)

Jak nie zostałem członkiem PZPR. Był to moment (trzeciego lub czwartego dnia po ogłoszeniu stanu wojennego), kiedy na wszystkich szczeblach RSW „Prasa-Książka-Ruch" zaczęły się tak zwane weryfikacje dziennikarzy. Zaprosił mnie wówczas na rozmowę do swojego gabinetu sekretarz POP fabryki „Polania", niejaki sekretarz L. Przebiegu mojej z nim rozmowy nie pamiętam dokładnie, gdyż podczas jej trwania wróciły do mnie na chwilę upiory przeszłości, więc nie ma sensu konfabulować. Ogólnie mówiąc, chodziło owemu sekretarzowi o to, że jestem – jak twierdził – obiecującym, utalentowanym dziennikarzem, ale niestety bezpartyjnym, a na to „Głos Załogi" nie może sobie pozwolić, zwłaszcza teraz, gdy nastał dla wszystkich czas próby. Zaproponował mi więc podpisanie deklaracji kandydackiej, bo… wiecie-rozumiecie, Szymoniak, macie młodą żonę i dziecko na utrzymaniu, a od dzisiaj w redakcjach całego kraju nie będzie już miejsca dla takich jak wy, bezpartyjnych fachowców. Partia wymaga od nas wszystkich jasnego opowiedzenia się po jednej ze stron, a słuszna, wiecie-rozumiecie, jest tylko jedna strona, no więc? Tego dnia, lekko przerażony wizją nagłego bezrobocia, nie zastanawiając się długo, podpisałem deklarację członkowską, nabazgrałem bezmyślnie jakiś wniosek o przyjęcie mnie do PZPR i poszedłem do domu z uczuciem, że… właśnie wylałem na siebie zawartość nocnika wyjętego spod łóżka generała J. Dzień później zaproszono mnie na zebranie partyjne w fabryce, abym poznał ludzi, którzy – jak twierdził R. – dobrze mi życzą i są w tych trudnych czasach sprawdzoną awangardą narodu. Zebranie trwało godzinę i było czymś tak absurdalnym, czymś tak idiotycznie zakłamanym oraz pełnym powtarzanych za wierchuszką frazesów, że od razu po tym spotkaniu, będącym totalną hucpą, poszedłem do komitetu zakładowego PZPR i poprosiłem sekretarza L., aby oddał mi mój wniosek i podpisaną przeze mnie deklarację kandydacką. Wycofałem bez dodatkowych wyjaśnień te dwa dokumenty, zanim nabrały jakiejkolwiek mocy urzędowej. Wielkie, oj wielkie było zaskoczenie towarzysza sekretarza, a ja... z ulgą wróciłem do domu, zdając sobie oczywiście sprawę z ewentualnych konsekwencji tego kroku. Przez minione 24 godziny czułem się bowiem jak zdrajca, jak totalnie przemielony przez komunę zasmarkany sprzedawczyk, jak zeszmacony na własne życzenie dziennikarzyna. Ulgę poczułem dopiero wtedy, kiedy L. oddał mi owe dwa kawałki papieru. C.d.n.

(17 lipca) **198**

199 (18 lipca, poniedziałek)

Jak nie zostałem członkiem PZPR... ciąg dalszy. Złożyłem je na cztery, schowałem do kieszeni i grzecznie przeprosiłem za nieporozumienie. Na pytanie sekretarza POP, dlaczego?, odpowiedziałem krótko: „Bo to po prostu nie jest moja bajka. Nie mógłbym przez długie lata uczestniczyć w czymś tak nieprawdziwym i zakłamanym, jak to, co zobaczyłem i usłyszałem w trakcie wczorajszego zebrania partyjnego". Kolega L., z którym prywatnie byłem na „ty", pryncypialnie się w tym momencie nadął, bąknął coś, że właśnie krzywdzę swoją niesprawiedliwą wypowiedzią tych wszystkich uczciwych towarzyszy, którzy mi zaufali, którzy podali mi pomocną dłoń, ale skoro nie, to nie… wiecie-rozumiecie, Szymoniak. Musisz być teraz przygotowany na to – informował mnie towarzyszy sekretarz w tym samym mniej więcej tonie – że skoro partia nie może liczyć na ciebie w tych trudnych dla kraju chwilach, to i ty nie masz już co liczyć na partię, gdyby zaszła taka potrzeba. Zapytałem więc od razu, czego mogę się spodziewać, bo wolę wiedzieć, co mi grozi i na co mam się ewentualnie przygotować. Kolega L. wypowiedział w tym momencie kilka słusznych, ale bełkotliwych okrąglasów z podręcznego zestawu sekretarza POP i dodał, że nikt mnie nie będzie bez powodu szykanował (jeżeli sam nie zrobię czegoś przeciw naszej socjalistycznej ojczyźnie, która jest naszym wspólnym obowiązkiem), ale… na pewno będę pierwszą osobą do zwolnienia z redakcji, gdyby przyszła jakaś wyższa, ekonomiczna rzecz jasna konieczność redukowania etatów w całej administracji fabryki. A póki co mam wracać za swoje redakcyjne biurko i czekać na polecenia służbowe, gdyż na pewno nie zostanę bez odpowiedniego dla siebie zajęcia. Na początek, skoro gazeta była zawieszona i nie miałem chwilowo nic do roboty na swoim redakcyjnym odcinku budowy jeszcze lepszej socjalistycznej demokracji stanu wojennego, odesłano mnie karnie do redagowania słodkiego partyjnego niezbędnika sekretarzy pod nazwą „Miejski Biuletyn Informacyjny". Firmował to i drukował Komitet Miejski PZPR w Gnieźnie na potrzeby własnych szeregów partyjnych. Stamtąd też pochodziły wszystkie materiały informacyjne, którymi miałem się zajmować. A dostarczano je wydziałowi propagandy z samej centrali PZPR w Warszawie i z Komitetu Wojewódzkiego w Poznaniu. Ja miałem to tylko obrabiać redakcyjnie i przekazywać odpowiednim sekretarzom propagandy do dalszych działań wydawniczych. C.d.n.

(19 lipca) **200**

kryteria wyszukiwania Test, który wypełniłaś, pom
niejszy pod względem osobowości, dojrzałości psychiczn
pochodzić. Jak rozsądnie ustalić
nawiał się, jakie cechy powinien mieć
podobają się przecież różne rzeczy.
kają Użytkownicy i Użytkowniczk
czenie Nikt z nas nie chce b
aprawdę atrakcyjność jest
ak sprawdzić, by zdjęcie do
Użytkowników wyznaje w swoich
potrafi skomplikować życie; zwłas
okresu dorastania. Jak pokona
h? Przecież to taka nowocze
ecznie zbliża się do granicy
ujemy odpowiedzieć, wy
sana? Czy osobowość m
lacji międzyludzkich jes
podstawowym aspe

201 (20 lipca, środa)

Jak nie zostałem członkiem PZPR... zakończenie. Robiłem to przez kilka miesięcy bez specjalnego obrzydzenia, a nawet z pewnym zainteresowaniem o jasnej dla mnie proweniencji socjologicznej i językoznawczej, gdyż siedząc w tej materii, poznawałem upiorne meandry myślowe zwolenników i strażników stanu wojennego. Moje w tych tekstach były tylko przecinki, stylistyka i odpowiednie formy gramatyczne. Przede wszystkim jednak poznałem przy okazji mechanizmy rządzące peerelowską propagandą i na własne oczy ujrzałem swoistą fasadowość całego tego budowanego (mozolnie i bez większych efektów) przez komunistów „ruchu obywatelskiego", który skupiał się wokół generała, wokół WRON-u (hasła na murach: WRONA skona), wokół „niezbywalnych zdobyczy socjalizmu". Patrząc na to z bliska, przestałem się tego bać, uzyskałem świadomość, że ten oto surrealistyczny system polityczny, któremu mogą pomóc już tylko czołgi Układu Warszawskiego, nie ma prawa przetrwać dłużej niż kilka jeszcze lat. Po kilku natomiast miesiącach, gdy odwieszono „Głos Załogi", a ja wróciłem z zesłania do swoich poprzednich obowiązków, nie było już dla mnie rzeczy niemożliwych. Nie mogłem co prawda w pojedynkę przeciwstawić się gnijącemu systemowi, ale mogłem na jego gruzach (ciągle jeszcze udających wielką budowę socjalizmu) wykreować własną przyszłość, niezależną od sekretarzy POP, mojego szefa, czyli redaktora naczelnego, oraz wszystkich ówczesnych gnieźnieńskich układów i układzików, które zalatywały smrodkiem bolszewickiej niegodziwości. To wtedy złożyłem papiery na poznańską polonistykę, to znaczy pojechałem na egzamin wstępny, zdałem go, czyli napisałem go na piątkę, i wkrótce otrzymałem upragnione przez lata zawiadomienie z UAM, że jestem studentem pierwszego roku zaocznej polonistyki, na kierunku nauczycielskim (innego wówczas nie było). Tej sprawie, sprawie studiów, nadałem absolutny priorytet, całą resztę swoich planów i wyobrażeń na własny temat zdejmując z najwyższej półki, bo wiedziałem, że dopiero tam, za tym progiem, któremu na imię „dyplom wyższej uczelni", zacznie się dla mnie coś naprawdę ważnego, zacznie się mój własny profesjonalizm, moja mała, osobista przygoda z intelektem, wiedzą i sprawnością warsztatową. A „groźby" kolegi L. spełniły się w grudniu 1983 roku. Najpierw pozbawiono mnie możliwości redagowania dodatku „Kwartalnik Kulturalny", a potem – 31 stycznia 1984 – zwolniono.

(21 lipca) **202**

203 (22 lipca, piątek)

Jak nie zostałem złym nauczycielem w SP nr 10. Między styczniem 1984 (kiedy zwolniono mnie z WZO „Polania", czyli de facto z redakcji gazety „Głos Załogi") a wrześniem 1985 (kiedy przyjęto mnie na etat polonisty do SP nr 10) zdarzyło się sporo w moim życiu rodzinnym, zawodowym i literacko-artystycznym. I tak, krótko – po pół roku – pracowałem w gnieźnieńskim Muzeum PPP oraz w Domu Dziecka w Kobylnicy, ale chwytałem się też innych, dorywczych zajęć fizycznych (weekendowe trzydniówki na prywatnych budowach) lub opiekuńczych (wychowawca na kolonii letniej) i dziennikarskich (pierwsze reportaże dla poznańskiego miesięcznika „NURT"), żeby zarobić na chleb i bezpiecznie (od strony finansowej) ukończyć studia na poznańskiej polonistyce. I właśnie latem 1985 roku, kiedy po udanej sesji egzaminacyjnej znalazłem się na ostatnim roku tych studiów, mając już zatwierdzony przez przyszłego promotora konspekt pracy magisterskiej i zebrane materiały do jej napisania, przyjęto mnie do Szkoły Podstawowej nr 10 na etat nauczyciela-polonisty. W tym miejscu warto przytoczyć fragment książki Marka Szczepaniaka i Grażyny Tyrchan z roku 2021 pt. „Dzieje osiedla Winiary w Gnieźnie", str. 34-36. Cytuję: *W 1980 r. gnieźnieńskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego przystąpiło do budowy szkoły podstawowej na Osiedlu Orła Białego. Nowa placówka posiadać miała 24 pomieszczenia lekcyjne, co czyniło ją największą szkołą w mieście. Swoją działalność „szkoła w budowie" rozpoczęła 4 lutego 1980 r. początkowo w Zespole Szkół Skórzanych przy Fabryce Obuwia „Polania" w Gnieźnie. Organizacyjnie podlegała ona po części dwóm jednostkom: Szkole Podstawowej nr 5 i Szkole Podstawowej nr 1. W r. 1981 nowa placówka otrzymała oficjalny numer „10", a od nowego roku szkolnego 1981/82 liczebność dzieci wzrosła do 210. Zwiększyła się także liczba oddziałów. Dyrektorem powstającej szkoły władze oświatowe mianowały Tadeusza Goździa. W tym czasie 2 oddziały klas początkowych dojeżdżały na lekcje do szkół numer 5 i 1. Pozostałe uczyły się w trzech salach szkoły przyzakładowej „Polanii". W jej świetlicy, po przedzieleniu pomieszczeń płytami pilśniowymi, utworzono dwie sale lekcyjne. Pomieszczenia palarni i sali gimnastycznej także zostały przystosowane i wykorzystywane były do prowadzenia zajęć. Mimo pozyskania kilku pomieszczeń, lekcje nadal kończyły się o godzinie 18:50.* C.d.n.

(23 lipca) **204**

205 (24 lipca, niedziela)

Jak nie zostałem złym nauczycielem w SP nr 10… c.d. *Dzięki interwencji rodziców uzyskano dodatkowe pomieszczenia (kawiarnię i pracownię plastyczną) w Domu Socjalnym „Polanii", a klasy zerowe miały swoje zajęcia w Klubie Seniora na Osiedlu Orła Białego. Lata 1981-1982 nie sprzyjały utrzymaniu szybkiego tempa budowy, stąd oddanie szkoły przesuwało się w czasie. Pierwszy element budynku szkolnego został przekazany władzom oświatowym 10 lipca 1982 r. w stanie wymagającym nadal dużego wkładu pracy. Zadanie to wykonali częściowo nauczyciele wraz z rodzicami. Prowizoryczny mur oddzielał wówczas nadal budującą się część szkoły od części, w której w roku szkolnym 1982/83 rozpoczęto zajęcia. Liczba klas lekcyjnych nadal była niewystarczająca, nie działała biblioteka ani gabinet lekarski. Prowizoryczna świetlica mieściła się w piwnicy, a w jednej z sal mieszkał wraz z rodziną woźny szkoły. Oficjalne otwarcie placówki nastąpiło 1 września 1983 r., choć „uroczyste zburzenie" ściany oddzielającej nową część budynku miało miejsce dopiero 6 października. Do czasu uruchomienia drugiej na Winiarach szkoły podstawowej, w „Dziesiątce" ponad 100 nauczycieli uczyło prawie 2200 uczniów z 74 oddziałów. Lekcje trwały od godz. 8:00 do 18:40*. Rodzice uczniów z tamtego okresu „wielkiej improwizacji" lokalowo-logistyczno-organizacyjnej SP nr 10 są mnie więcej w moim wieku, więc dobrze pamiętają wspólny (wręcz heroiczny) z nauczycielami i dyrekcją szkoły ówczesny wysiłek oświatowy. Uczniowie „Dziesiątki" z tamtego okresu są dzisiaj dorosłymi ludźmi, rodzicami własnych dorosłych już dzieci, którym tę historię edukacji w spartańskich warunkach „piwnicznej izby" mogą opowiadać niemal jak współczesną baśń Braci Grimm. Ale cóż, takie to były czasy realnego socjalizmu, festiwalu „Solidarności", a potem stanu wojennego i schyłkowej już komuny pod rządami generała Jaruzelskiego. Nikomu z nas (i z Was) nie było wtedy łatwo, ale daliśmy (daliście) radę – rodzice tamtych dzieci zażywają dzisiaj emerytury (niańcząc wnuki i prawnuki), a tamte dzieci wyrosły na porządnych, pracowitych, uczciwych obywateli III RP, dając własnym dzieciom przykład, że nie ustrój stanowi o człowieku, ale człowiek o ustroju. Choć wszyscy razem żyliśmy w cieniu Wielkiego Brata, który dzisiaj demoluje Ukrainę – mordując, grabiąc, gwałcąc i wywożąc ludność w głąb Rosji – to jednak w większości byliśmy odporni na wirus pod nazwą *homo sovieticus*. C.d.n.

(25 lipca) **206**

207 (26 lipca, wtorek)

Jak nie zostałem złym nauczycielem w SP nr 10… zakończenie. W każdym razie ja trafiłem do „Dziesiątki" dwa lata po jej oficjalnym otwarciu, więc zastałem już szkołę w pełni sprawną organizacyjnie, urządzoną i wypełnioną życiem szkolnym przez 10 godzin na dobę. Doskonale pamiętam moje pierwsze wejście do pokoju nauczycielskiego, w którym przywitały mnie nie tylko znaki zapytania, ale także uśmiechy i słowa pełne życzliwości. Przydzielono mi cztery klasy czwarte, z których jedna była moją klasą, jako wychowawcy. Pełniłem też na przerwach dyżury nauczycielskie, spędzając ten czas (między innymi) na głównym, szerokim korytarzu, po którym – na krótkich przerwach i w czasie niepogody – brać uczniowska wszystkich roczników wędrowała w koło, tworząc rodzaj niespiesznej procesji. I właśnie podczas jednego z takich dyżurów korytarzowych wszedłem do tego okręgu z drewnianym wskaźnikiem w ręce, by sprawniej kierować ruchem. Po dyżurze podszedł do mnie dyrektor Tadeusz Goździ (historyk, którego pamiętałem z II LO), wziął mnie na bok, czy nawet do swojego gabinetu i powiedział – oprócz kilku ogólnych uwag na temat mojej pracy z uczniami klas czwartych – mniej więcej coś takiego: „Jeżeli chce pan być dobrym nauczycielem, to znaczy także takim, którego uczniowie się nie boją, to nigdy, pod żadnym pozorem, nie wolno się panu pojawiać wśród uczniów z kijem w ręce. Wiem, wskaźnik to wskaźnik, ale to także kij, którym można uderzyć dziecko, nawet przypadkowo. I dziecko to wie, nawet jeżeli pan tego nie widzi. Z tym wskaźnikiem może się pan pojawiać tylko przy szkolnej tablicy. Proszę mi wierzyć. I niech to będzie rada od starszego kolegi, na dobry początek". Słowa dyrektora Goździa zapadły mi w pamięć na zawsze. A efekt koleżeńskiej lekcji-przestrogi był taki, że dzieci faktycznie lubiły moje lekcje, okazywały mi własną życzliwość, a nawet swoje serce i dziecięce przywiązanie. Piszę o tym więcej w innej książce. No i nie bały się mnie. Potwierdzeniem tego stanu rzeczy okazał się ostatni dzień mojej pracy w SP nr 10, który był także ostatnim dniem zajęć szkolnych przed zimowymi feriami. Gdzieś koło godziny 17 lub 18 dwie czwarte klasy moich uczniów przemaszerowały w mrozie, z tornistrami na plecach ze szkoły na Winiarach do mojego mieszkania na poddaszu domu przy ulicy Grzybowo 3. Po co? Żeby jeszcze raz się ze mną pożegnać. I ta scena, jako jedna z kilku najważniejszych, do dzisiaj trwa we mnie lekcją życia i wzruszeniem.

(27 lipca) **208**

209 (28 lipca, czwartek)

Jak nie wyemigrowałem do Berlina Zachodniego i Nowego Jorku. Jesienią roku 1984 zatrudniłem się (dzięki Wojtkowi Śmieleckiemu) jako wychowawca w Domu Dziecka w Kobylnicy. Wszyscy, poza kierownictwem i dyrekcją, nazwali tę placówkę bidulem. Tak więc spędzałem sporo czasu w bidulu, przede wszystkim popołudniami, do g. 22 i w czasie sobotnio-niedzielnych dyżurów. To właśnie tam poznałem Reginę P., młodą damę także na etacie wychowawcy, tyle tylko, że ona miała tam swój służbowy pokoik, w którem mieszkała, po ostatecznym opuszczeniu Pomorza Zachodniego, skąd pochodziła. Kolegowaliśmy się z racji pokrewieństwa dusz, potrzeb intelektualnych oraz zbieżnych poglądów na świat i życie. Pewnego dnia Regina podjęła decyzję o emigracji zarobkowej do Berlina Zachodniego, gdzie – mając ku temu odpowiednie wykształcenie i uprawnienia zawodowe – podjęła pracę w eleganckiej niemieckiej rodzinie wielopokoleniowej (piękna willa z ogrodem) jako opiekunka dzieci i starszej pani, seniorki rodu. Była lubiana, pracowita, więc i szanowana przez swoich chlebodawców, a że przez rok podszlifowała język na tyle, że stała się niemal członkiem rodziny, owa *Familie* załatwiła jej legalny wyjazd (i opłaciła samolot) do Nowego Jorku, gdzie miała opiekować się starszym niemieckim małżeństwem. Żoną niemiecko-amerykańskiego biznesmena na emeryturze była siostra owej berlińskiej seniorki, która uczyła Reginę dobrze mówić po niemiecku. Po następnym roku (już w trakcie pobytu w NYC), Regina na tyle dobrze mówiła i pisała po angielsku, że mogła zacząć myśleć o zawodowym i finansowym usamodzielnieniu się. I to wtedy właśnie, zjechała na kilkanaście dni do Polski, by załatwić różne swoje sprawy urzędowe w związku z podjęciem decyzji o emigracji do USA na stałe. Wówczas też odwiedziła mnie na moim gnieźnieńskim poddaszu (ul. Grzybowo 3) z propozycją, abym rzucił wszystko i poleciał z nią – via Berlin Zachodni – do Ameryki. Nie wiem, jak to zrobiła, ale miała przy sobie amerykańską wizę wjazdową i potwierdzone konsularnie zaproszenie na okaziciela. Wystarczyło wpisać do tych dokumentów moje dane osobowe, pojechać z tymi „kwitami" do Konsulatu USA w Poznaniu, by znaleźć się na liście pasażerów samolotu rejsowego, który mógł Reginę i mnie zawieźć do lepszego, wolnego świata, gdzie mógł spełnić się mój amerykański sen, jeżeli takowy mnie nawiedzał. Nie skorzystałem z okazji. Dlaczego? Szczerze mówiąc, nie pamiętam.

(29 lipca) **210**

211 (30 lipca, sobota)

Jak nie utknąłem w fotograficznej amatorszczyźnie. Najwcześniejsze, jak pamiętam, udane zdjęcie wykonałem w Kępnie aparatem START w wieku 12 lat. Jest na nim cała moja najbliższa rodzina, ustawiona do pamiątkowej fotografii z okazji pierwszej komunii mojego młodszego brata. Będąc w trzeciej klasie gnieźnieńskiego II LO założyłem z bratem na strychu domu przy ulicy Grzybowo 3 amatorską, ale kompletną ciemnię. To wtedy powstały negatywy, które ciągle leżą w szufladzie mojego biurka. W roku 1986 zacząłem pracować w poznańskim miesięczniku „NURT". Zdjęcia do kilkunastu najważniejszych moich, opublikowanych w nim reportaży wykonał wówczas Maciej Kuszela. W 1994 r. zaczął działać w Poznaniu „Nowy Nurt", dla którego nagrywałem duże rozmowy ze znanymi postaciami środowiska literackiego. Portrety do tych rozmów i wywiadów wykonywał Mariusz Forecki. Pracując od roku 1992 w „Głosie Wielkopolskim", także uprawiałem głównie reportaż wyjazdowy, który ilustrowali swoimi zdjęciami Janusz Romaniszyn, Romuald Świątkowski i Romuald Królak. Od wszystkich tych fotografów i fotoreporterów czegoś się nauczyłem. Gdy w roku 1995 zostałem oddelegowany do Ostrowa, a potem do Konina i Gorzowa Wlkp. jako kierownik Oddziału „Głosu", swoje teksty ilustrowałem już własnymi zdjęciami, których do roku 2000 wykonałem ze dwa tysiące, a opublikowałem kilkaset. Po roku 2003 zacząłem już myśleć o fotografii jako dziedzinie sztuk wizualnych, o której można coś napisać, albo o której można z kimś rozmawiać. Dzięki temu ukazała się moja pierwsza książka okołofotograficzna pt. „Rozmowy w ciemni" (MOK 2008), w której sportretowałem mistrzów MOK-owskiej GAFY: Annę Farman, Marcina Słowińskiego, Olę Jastrzębską, Remigiusza Kosmalę, Mariusza Jakubowskiego oraz szefa GAFY – Pawła Kostusiaka. W tym samym czasie na mojej drodze pojawił się Władysław Nielipiński – szef Działu Foto z poznańskiej WBPiCAK. Zaprosił mnie do współpracy. W ten sposób trafiłem w środowisko, gdzie mogłem uczyć się myślenia (a potem pisania) o fotografii od Piotra Chojnackiego, Bogusława Biegowskiego, Lecha Szymanowskiego, Macieja Szymanowicza, Mariusza Foreckiego, Marianny Michałowskiej, Waldka Śliwczyńskiego, Irka Zjeżdżałki, Moniki Piotrowskiej, a w Gnieźnie od Macieja Frankowskiego i Jurka Andrzejewskiego. Od roku 2007 także intensywnie fotografowałem Gniezno, czego dowody znajdują się w tej książce.

(31 lipca) **212**